

Emmanuel Carrère, *Królestwo*, tłum. K. Arustowicz, Kraków 2016, Wydawnictwo Literackie, ss. 529.

Ta wydana we Francji w 2014 roku powieść zdobyła tam sporą popularność, rozchodząc się w ponad 300 tysiącach egzemplarzy i według „Le Monde” była książką roku. Również w Polsce spotkała się z bardzo przychylnymi recenzjami, choć raczej w prasie liberalnej (Gazeta Wyborcza, Tygodnik Powszechny). I mimo, iż jest to dzieło literackie, a nie *stricte* naukowe, to warto by przyjrzeni mu się teologowie, bo autor – znany i nagradzany już wcze-

śniej pisarz i scenarzysta filmowy, deklaruje, że zamierza w tej książce zbadać u źródeł początki chrześcijaństwa.

Już na pierwszy rzut oka dzieło wydaje się monumentalne (ma ponad 500 stron w polskiej edycji). Nie jest to jednak, jakby można się spodziewać jakiś traktat teologiczny ani powieść historyczna, ale swoiste literackie połączenie elementów biografii autora z, jak on sam zapowiada, historycznym dochodzeniem opartym na bazie tekstów Nowego Testamentu. Książka składa się z czterech zasadniczych części oraz Prologu i Epilogu. Pierwsza część opisuje nawrócenie autora na chrześcijaństwo i trzyletni etap jego intensywnych poszukiwań duchowych zakończony wszak utratą wiary i wycofaniem się na pozycje agnostyka. W kolejnych częściach powieści znajdujemy jeszcze bardzo liczne elementy biograficzne, które często mają za zadanie niejako uwspółcześnić opowiadaną historię sprzed 2000 lat, która w wielu miejscach dla laickiego czytelnika (pamiętajmy, że pierwotnym odbiorcą był czytelnik francuski) mogłaby być zbyt nieprzekładalna na dzisiejsze czasy. Trzeba przyznać, że zabieg to częstokroć dość wątpliwej jakości, ocierający się nawet o banał, czy prymitywne uproszczenia lub wręcz niesmaczną prowokację (np. stałe stosowanie analogii pomiędzy pierwszymi chrześcijanami a bolszewikami lub scena pornograficzna wtrącona w tekst o Maryi matce Jezusa). Nawiasem mówiąc, generalnie autor ma tak wybujałe *ego* (i to jest chyba w nim podstawowa przeszkoda dla wiary), że ta jego megalomania przebijająca się w niektórych fragmentach autobiograficznych bywa męcząca i w wielu momentach niepotrzebnie powiększa rozmiary powieści, zaburzając dość ciekawie stworzoną rekonstrukcję historyczną, czego przykładem są zwłaszcza jego popisy erudycji, co rusz wtrącane, wielokrotnie zupełnie bez potrzeby, w ciąg opowieści o działalności apostołów.

Druga część poświęcona jest osobie Pawła Apostoła. Pamiętając, że mamy do czynienia z dziełem literackim, to konstrukcja tej postaci jest miejscami niezwykle ciekawa. Znajdujemy tu interesujące przemyślenia autora, lecz nie zawsze mają one pokrycie w faktach i te merytoryczne mielizny mogą razić czytelnika obeznanego z Biblią. Carrère deklaruje, że szuka prawdy, ale niestety robi to zbyt często tendencyjnie, dobierając nierzadko takie fragmenty nowotestamentalne i takie interpretacje, które pasują do z góry ustalonej tezy (np. z góry zakłada, że Jezus nie jest Bo-

giem, że nie zmartwychwstał, że Paweł był w konflikcie z Kościołem w Jerozolimie, a zwłaszcza z apostołem Jakubem). Zresztą, jeśli uważnie śledzimy jego tok dowodzenia, to niejednokrotnie nie odwołuje się do współczesnych badań egzegetycznych (razi przede wszystkim to, że jego głównym punktem odniesienia są tu XIX-wieczne dzieła Renana), ale są to jego literackie wyobrażenia. Ma do tego prawo jako pisarz, ale nie jako badacz historii chrześcijaństwa za jakiego się podaje. Jeszcze słabiej wygląda to w części trzeciej i czwartej, gdzie głównym bohaterem jest Łukasz Ewangelista. Po pierwsze konstrukcja tej postaci jest ściśle podporządkowana pewnemu pomysłowi literackiemu – jako towarzysz, ale zarazem przeciwieństwo Pawła. Razi niekonsekwencja w charakterystyce Łukasza – raz przedstawiany jako wykształcony, innym razem, jako nie dość pojętny i zagubiony. Jeszcze bardziej fantazjuje autor w swoich domniemaniach na temat powstawania Ewangelii spisywanej przez Łukasza – stawia nieraz hipotezy, które opierają się jedynie na jego literackiej intuicji. Również inne postacie jak Piotr, Maryja i Jan pokazane są tutaj tak, jakby ich historii popaschalnej nie budowała żywa wiara, lecz głównie socjologia rodzącej się grupy chrześcijan – nazywanej przez autora konsekwentnie sektą. Kościół nie jest widziany jako dynamiczna wspólnota, wzrastająca na fundamencie depozytu nauczania Jezusa, lecz jako zbiór przeciwstawnych, a nawet zwalczających się indywidualności, których wypadkowa interesów ukształtowała początki instytucji, jaką znamy dzisiaj. Rola Ducha Świętego w początkach Kościoła i powstawaniu tekstów nowotestamentalnych potraktowana została ze sceptycznym przymrużeniem oka.

A jednak mimo tych wszystkich niedostatków, z których część to wszak kwestia literackiego gustu, warto z wielu względów po tę pozycję sięgnąć. Bez wątplenia pisarz wykonał wielką pracę, na swój sposób przemyślał wiele fragmentów Nowego Testamentu. Możemy się z nim nie zgadzać, ale ta powieść jawi się jako cenne świadectwo tego jak chrześcijaństwo jest postrzegane przez tych, którzy są na peryferiach Kościoła, a jednocześnie w miarę uczciwie poszukują. Mimo przebijającego się w wielu fragmentach ogromnego, nawet programowego sceptycyzmu, czasami podszytego wręcz uprzedzeniem do religii i tego, co boskie lub nadprzyrodzone, mimo pewnych braków merytorycznych, czy też bardziej subiektywnego traktowania historii chrześcijaństwa

przez pryzmat własnej utraty wiary, mamy tu jednak do czynienia z tekstem współczesnej kultury, wobec którego teolog nie może przejść obojętnie. I w rzeczy samej analizując ten tekst, nie tyle należy koncentrować się na jego niedostatkach egzegetycznych, co bardziej na samym sposobie myślenia o chrześcijaństwie i jego źródłach. Bo jednak Carrère poświęcił kilka lat na samodzielne studiowanie Nowego Testamentu – to rodzi szacunek, bo iluż chodzących do Kościoła co niedziela katolików to uczyniło, by zadać sobie trudne pytania, jakie sobie i nam stawia ten pisarz? Warto więc może zaproponować tę lekturę studentom teologii na ćwiczeniach z teologii fundamentalnej lub dogmatycznej – to niezły materiał do przemyśleń o wierze, o jej źródłach, o jej apologii i głoszeniu we współczesnym świecie zachodniej kultury, już w wielu miejscach postchrześcijańskiej, nawet w Polsce.

W Epilogu odkrywamy dopiero w pełni, że zamiarem autora było zaproszenie czytelnika do przebycia pewnej wspólnej drogi, podróży po świecie rodzącego się chrześcijaństwa, czasami bardzo trudnej, podczas której chce on podzielić się swoimi poszukiwaniami, wątpliwościami, pytaniami, a jak się wydaje także tęsknotą za wiarą głębszą niż ta, którą utracił. Choć w kilku miejscach książki pisarz wprost deklaruje, że nie wierzy w Boga, w zmartwychwstanie i boskość Jezusa, to jednak nie ukrywa swojej fascynacji Nauczycielem z Nazaretu, aczkolwiek postrzeganym jedynie na poziomie postaci wielkiego mędrca ludzkości jak Budda czy Lao-Tsy. Lecz w ostateczności widzi, że bez wiary cała ta historia jest niemożliwa do zrozumienia w pełni: „Właśnie kończyłem tę książkę i byłem z niej, nie ukrywam dość zadowolony. Mówiłem sobie: pisząc ją, wiele się dowiedziałem. Ten, kto ją przeczyta, również wiele się dowie, a te sprawy dadzą mu do myślenia: solidnie wykonałem swoją robotę. Jednocześnie nurtowała mnie myśl, że umknęło mi coś ważnego. Że pomimo całej mojej erudycji, rzetelności, wszystkich moich skrupułów, trafiłem kulą w płot. Oczywiście, gdy się porusza takie tematy, problem polega na tym, że jedyny sposób, by nie spudłować, to stanąć po stronie wiary – otóż ja tego nie chciałem, i nadal nie chcę. Ale kto wie?” (s. 514-515). Jeszcze mocnej wybrzmiewa to w ostatnim, bardzo szczerym akapicie powieści: „Książkę, którą na tym kończę, pisałem w dobrej wierze, ale to co pragnąłem przybliżyć, jest tak dalece ode mnie potężniejsze, że ta dobra wiara, z czego sobie

zdaje sprawę, jest po prostu śmieszna. Pisałem obciążony tym, czym jestem: inteligentem, człowiekiem bogatym, ze szczytów hierarchii: tyle ułomności dla kogoś, kto chce wejść do Królestwa. Mimo wszystko próbowałem. A w tej chwili, gdy się z tą książką rozstaję, zadaję sobie pytanie, czy sprzeniewierza się ona młodemu człowiekowi, którym kiedyś byłem, i Panu, w którego on wierzył, czy też, na swój sposób, pozostaje im wierna. Nie wiem” (s. 524).

Lektura *Królestwa Carrère*'a może prowokować, a nawet niektórych bulwersować, czasami swoim stylem denerwować, a innych zachwycać, ale nie można wobec niej przejść obojętnie i to jest jej wartość, bo w istocie w tle, mimo całej subiektywności opisu każe się zastanowić nad wiarą chrześcijańską, nad naszą wiarą, nad moją wiarą...

ks. Jacek Froniewski